№ 34.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 26. Sierpnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 4, na ćwierć roku talarów 2, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

ROZWIEDZIONA.

Powieść.

(Ciąg dalszy.)

Z tém też uczuciem przestąpił Władysław próg sali i niepomału się zmieszał, widząc Antoninę stojącą z Siwickim w kole tańczących. Zaćmiło mu się w oczach, zdawało mu się nawet, że widzi wesołość i radość na twarzy Antoniny. Jakto u ludzi podobnych do Władysława, którzy nie idą za rozumem wszystko obejmującym, tylko częścią za uczuciem, częścią za rozsądkiem, uchwycił rzecz całe z przewrotnéj strony. Prawie był przekonany, iż Antonina go tém obraża, że zamiast płakać i czekać na niego w domu, a przynajmniéj w towarzystwie niebrać udziału, to się teraz w najlepsze bawi i śmieje. Zbliżył się przeto do niéj i rzekł po zimném przywitaniu:

»Widzę, ślicznie się bawisz mój aniołeczku. Bardzo mnie to cieszy. Rozumiem jednak, że ci nie na zdrowie tyle tańczyć i do tego galopadę...«

»Dla czego, Władysławie? rzekła Antonina — właśnie mnie to bawi, że dziś zaczynam tańczyć od galopady. Jest to taniec pełen energii i ruchu. Tak długoś się bawił; zaczęłam powątpiewać, czyli ci choć chwila pozostanie od twoich zatrudnień.«

W téj chwili przyszła koléj tańca na Antoninę. Władysław ujrzał ją ulatującą śród par tańczących, wspartą lekko na ramieniu Siwickiego. Jéj wesołość, a przytém pewna obojętność w rozmowie zupełnie go z toru zbiła, niedomyślał się, że właśnie w oczach przytomnych starała się wszelkie podejrzenia pokryć, i niedotykać powodu spóźnienia się jego. Władysław już się wahał co czynić, chciał wziąć ją śród tańca pod rękę i z sali uprowadzić. Ale ta myśl szalona jak nagle w nim powstała, tak nagle téż znikła. On stał jak przykuty do ściany, patrzał za tańcującą parą i niemógł się nawet wtenczas odwrócić, kiedy Siwicki przestał tańczyć i odprowadził z wielką gracyą Antoninę do salonu. Siwicki wrócił do niego, uchwycił go za rękę, i rzekł z uśmiechem pełnym litości:

»Na honor, Władysławie, twoja żona jest aniołem, prześlicznie tańczy. Nigdybym się nie był spodziewał, że będę z nią tańczył —! Proszę cię, wyjdźmy ztąd, ja zanadtom się zagrzał w tańcu, a tyś się zapewne zanadto znudził patrzeniem. W salonie Damy zatopiły się w rozmowie, pójdźmy ztąd.«

Władysław szedł za nim mimowolnie. Siedli razem na sofie w ubocznym pokoiku, przed nimi butelkę wina postawiono. Siwicki postrzegł niespokojność i zakłopotanie Władysława. Miałżeby on mieć podejrzenie? Nie inaczéj! Takie zadając sobie pytania i odpowiedzi, pił wino z wielkim namysłem. Nie wiedział, czyli ma w ogólności przestrzedz Władysława, aby żonę, którą dotąd uważał za niedostępną, stroniącą od ludzi, miał więcéj na baczeniu, czyli też zataić jéj wesołość i wnioski swe przed nim. Przy całéj swéj galanteryi niebył jednak bez pewnéj dobroci serca. Dla tego postanowił napomknąć Władysławowi, iż się nareszcie przekonał, że kobiety po większéj części są intrygantkami, które zawsze trzeba mieć na oku. Taki wybieg zdawał mu się wyśmienitym i odezwał się w te słowa:

»Na honor, powtarzam ci, twoja żona jest aniołem. A jak się bawić umie, jak rozmawiać, — mo-

żna mieć sześć uszu, i to nie zanadto, tak miło ją słuchać! Dziś zrana zdawała mi się być całkiém rozstrojona, ale te kobiety, kobiety....! któżby je poznał? Kto się nad niemi z uwagą i zręcznie niezastanowi, temu trudno dociec ich charakteru, co chwilę, co minutę, zdają się go zmieniać.«

»Masz słuszność, rzekł Władysław, gorzko się uśmiechając, cała ich sztuka na tém zależy, by się ukrywać pod rozmaitemi obsłonami, byle prawdziwéj postaci nieukazać. Czy tańczyła moja żona przed galopadą?«

»Nie... odrzekł Siwicki z wielką pewnością — ja pierwszy prosiłem ją do tańca, mile przyjęła wezwanie i z wielką ochotą tańczyła.....«

Ta prawdziwa, a jednak dwuznaczna odpowiedź, mocno go obeszła. Nie był zazdrosnym, ale ta myśl go zastraszała, iż Antonina i tego związku małżeńskiego nie uważa za dosyć święty, by unikać hołdów sobie składanych. Przy zimniejszéj rozwadze, jeżeli nie z przekonania, to przynajmniéj z instynktu nie dałby się uwieśdź temu podejrzeniu. Teraz jednak znalazła myśl jego błąkająca się punkt oparcia, teraz wiedział w co uderzyć, tak jak dawniéj nie był pewnym kogo obwiniać, czy własne serce, czy Antoninę, czy Aleksandrę. W téj chwili zadowoliło go, iż był w stanie rzucić pocisk wyrzutów na Antoninę, a razem i na Siwickiego, którego uważał za współzawodnika upojonego zwycięstwem i dla tego zaczepiającego. Tak jak był rozjątrzony, skoczył z siedzenia i zawołał:

»Nie pojmuję, dla czego ty nieustannie mi gadasz o Antoninie? Czyli chcesz mnie przekonać, iż poświęciłem moją wolność kobiecie lekkiéj, którą łatwo nakłonić do swoich uczuć? Na honor, ty chcesz mnie obrazić! Ale ja gardzę usiłowaniami, które mnie tu dotąd sprowadziły, by pod maską przyjacielskiego wylania się moją czujność ukołysać.«

Zamiast odpowiedzi, wstał Siwicki i rzekł spokojnie:

»Będę miał zaszczyt na tę gadaninę stósowną dać odpowiedź panu Władysławowi!« — po tych słowach opuścił pokoik.

Antonina w czasie tego zdarzenia siedziała śród Dam z bijącém sercem. Ciągle siebie zapytywała, czemu Władysław jéj unika, a jednak życzyła sobie z nim dopiero w domu pomówić. W téj saméj chwili, kiedy Władysław wymienił jéj imie z urąganiem i Siwickiego obrażał, uczuła Antonina ściśnienie serca, a będąc już wprzód jak na torturze, wpadła w omdlenie. Przestraszeni przytomni starali się ją cucić. Władysław właśnie w téj chwili nadszedł, kiedy przyszła do siebie, a wziąwszy ją z koła otaczających, sprowadził do pojazdu, który na nich przed pałacem oczekiwał.

VI.

Dwa dni smutno przepędził Władysław z Antoniną. Każdemu z nich zdawał się pokój być zerwany, a żadne nieprzypisywało sobie winy, ani śmiało się zastanowić nad prawdziwém położeniem rzeczy. Obraza Siwickiego pociągnęła za sobą skutki. Wyzwanie na pojedynek nastąpiło cicho i bez wrzawy. Siwicki starał się stłumić wszelką pogłoskę o tém, co zaszło, i o mającym odbyć się pojedynku. Dawna zażyłość z Władysławem była tego przyczyną, i niechciał zdarzenia owego poddać pod wykład dwuznaczny i niebezpieczny dla Miączyńskich. Miał uwagę i na miejsce i na rodzaj obrazy, powstały jedynie z zazdrości Miączyńskiego, ile się dorozumieć można było. To go spowodowało, chociaż najmniejszéj nie miał po temu chęci, do odegrania przed światem roli rycerza Antoniny. Pojedynek wyznaczono na dzień trzeci po owém wydarzeniu.

W dniu tym siedziała zrana Antonina na swojém ulubioném miejscu przy oknie. Tu spodziewała się przerwać swe marzenia i smutek. A lubo zamierzyła sobie pojrzeniem na ulicę i na przejeżdżające powozy wybić z głowy jednostajne i dręczące myśli, to jednak kiedy podała się sposobność ku temu, ani śmiała podnieść oczu i szukać roztargnienia. Owszém zagłębiała się w owe ubiegłe zdarzenia i obrazy, które jéj duszę, jak gwałtowne burze zimy, ze wszystkiego kwiecia i liści ogołociły. Od owéj chwili nieszczęsnéj, w któréj znalazła się na wieczornym zgromadzeniu, nie była ni razu spokojną, biedne jéj serce walczyło nieustannie z przeczuciem złowrogiém i zamiarami burzliwemi. Władysław z swéj strony troskliwie unikał wszelkiéj rozmowy o tym dniu i o wypadkach, które mogły wzbudzić jakiekolwiek podejrzenie. Rzadko był w domu i podawał za przyczynę oddalenia bardzo ważne i pilne zatrudnienia. Już to samo dręczyło ją, bo przyzwyczaiła się od czasu ślubu, ani na chwilę od niego się nie oddalać. Miałżeby on uznać swą winę i żałować urazy, którą ją dotknął, żałować i niechcieć przyznać się do tego i prosić o jéj przebaczenie? Lub też, co gorsza, nie postanowiłże on wytrwać w swém przedsięwzięciu i okazać jéj, jaki zamyśla nadal wieść żywot? Jedno i drugie rozrywało jéj duszę. W téj niepewności wszystkie ją rachuby rozsądku i rozumu omyliły. Ujrzała się w sidłach zaczarowanych, z których wyplątać się

ani podobna. Dziś zrana Władysław wcześnie z domu odjechał; kilka słów przez niego napisanych, uwiadomiły ją, iż interesa znagliły go do wyjechania na kilka godzin na wieś. Przeczytała bilecik, położyła go na stole i znów wzięła do ręki. Odczytywała go raz drugi i trzeci. W oczach jéj ściemniało, ręce drżały, wiele razy go do rąk brała. W dziwném przeczuciu zdawało się jéj, że widzi pewne wahanie się, szczególniejszy ruch w piśmie. Jéj czoło pałało ogniem, liczyła minuty i męczyła się nad tém, jak wyrozumieć te kilka godzin. Jéj ucho natężone było na każdy ruch sekundy maleńkiego zegarka, wstawała szybko na najmniejszy szelest w domu. Spozierała to na bilecik, to na drzwi, ze strachem oczekując ich otwarcia. Ten stan duszy tém był okropniejszy, iż siliła się naprózno wybić sobie owe przeczucia, które powstawały coraz silniéj po przeczytaniu bileciku. Ranne słońce łyszczało w mroźnéj jasności przez powietrze zaszłe mgłą lekką, ulotną, w którą wiosna przybrała niebo lazurowe. Kilka promieni przedarło się przez zasłony okien, otoczyły Antoninę i owiały jéj białą suknią w różane kolory, a jéj twarz bladą, cierpiącą, w eteryczne swe tchnienia. Dziwnie téż połyskiwały na palcu jéj złote obrączki, z pewnym odgłosem boleści odwróciła od nich swe oczy i poczęła jednę z nich mimowolnie z palca zdejmować. Wpadło jéj na myśl, czy to nie jest z ujmą dla Władysława, iż zachowuje tak wiernie pamięć pierwszego małżonka; w tém nagle się zerwała i pobiegła ku drzwiom, bo usłyszała zbliżający się szelest na dole domu. Niemiała siły daléj postąpić i oparła się o ścianę w okropném oczekiwaniu, na pół zemdlona, z sinemi ustami, z których ostatnia kropla krwi ustąpiła, jedną ręką podpierając czoło, drugą na zamku drzwi wsparta. Szelest coraz większy się wzmagał. Usłyszała zbliżających się ostrożnie mężczyzn, głos jeden stłumiony, rozkazujący, zdawał się drugimi kierować, i na pół zrozumiałym głosem nakazywać milczenie wyrzekającemu służącemu. Antonina zebrała wszystkie siły swoje i otworzyła drzwi. Ujrzała Władysława niesionego przez dwóch mężczyzn, bladego, skrwawionego, z zamkniętemi oczyma, owitego w płaszcz. Trzeci człowiek trzymał mu głowę do góry, służący szedł obok, niosąc w ręku skrzyneczkę. Wniesiono umierającego do otwartego pokoju i troskliwie złożono na kanapę.

(Dokończenie nastąpi.)

List z nad brzegu Renu.

z Kolonii.

(Ciąg dalszy.)

Dawno temu, dawno, był sobie w jédnéj górze smok straszny, okrutny, że nikt i przystąpić niemógł. Ludzie nic mu zrobić niemogli, bo miał taką skórę twardą, i tak był silny, że go niczém niemożna było zabić. Więc że ludzie byli jeszcze poganie, zaczęli ze strachu czcić tego smoka za bożka, i dawali mu ofiary. Otoż tedy była raz w okolicy jedna dziewczynka, taka piękna, śliczna, jak anioł, i taka niewinna, jak anioł. Kto tylko ją zobaczył, to się zaraz i kochał. Tak, dwóch największych panów i książąt, chciało ją mieć za żonę i księżną, i żaden żadnemu nie chciał ustąpić, ale koniecznie żeby się z nią ożenić i zawieźć sobie do swego zamku na panią. Jeden i drugi był rycerz wielki, bogaty; mieli swoje wojsko i pierwsze urzęda. Co tu robić?! Starsza Rada, starostowie, panowie, co krajem wtenczas rządzili, bojąc się, żeby nieprzyszło między książętami do wojny, nie wiedzieli, jak na to poradzić, więc się zgodzili, żeby dziewczynę oddać smokowi, żeby ją zjadł sobie na ofiarę, i tak obudwóch pogodził. Wzięli, przeczytali jéj wyrok; ślicznie, pięknie ubrali w białą sukienkę, w białe wstążki, w białe kwiatki, i wyprowadzili na górę do smoka, gdzie on mieszkał w jednéj przepaści. Taka była głęboka, taka czarna, że nic nie można było widzieć, a smok wtenczas tylko wychodził, jak mu przyprowadzali ofiarę; brał ją i znowu właził nazad; a gdyby niemiał ofiary, a zechciał jeść, to szedłby precz po zamkach, po miastach, i całyby kraj, niech Pan Bóg broni, pustoszył. Tak, tylko co ją przyprowadzili, postawili przy jamie, żeby smok wyszedł; ludu była straszna moc, bo tak ją wszyscy żałowali, że taka jeszcze młodziutka, śliczna, niewinna; ale cóż, nikt nie mógł bronić: wiedzieli, że książęta tak się zawzięli, że koniecznie każdy chciał być jéj mężem, i że nie było inszego sposobu, bo tak i Rada rozkazała. Aż tu niedługo zatrzęsła się góra od spodu aż do wierzchu, ryknęła pod ziemią okrutna bestya smoczysko, wyłazi, wszyscy się przelękli co strach, każdy tylko patrzy się, żeby ją jeszcze choć raz zobaczyć... — tylko ona sama nic się nielękła, a zrobiła się jeszcze piękniejsza, jeszcze śliczniejsza. Już, już miał ją porwać, a ta coś dostała prędko od piersi, i zrobiła jakiś znak, którego nikt nie zrozumiał. Ale smok zrozumiał dobrze; patrzą się, a on co miał ją rozedrzéć, zadrżał, ryknął strasznym sposobem, aż góry się wszystkie zatrzęsły, i tak nim rzuciło, że buchnął

jak kłoda w swoją przepaść. — Dopiero, co? jak? Wszyscy się zbiegają, dziwią, niechcą swoim oczom wierzyć; a ona biedaczka klęczy cichutko jak dzieciątko, jak baranek, i modli się; a taki blask szedł od niéj, jakby od gwiazdy jakiéj. Niewiedzą co to jest, co to się wszystko znaczy; starsi panowie myśleli, że czarownica, że to przez czary tak zrobiła; ale ona wstała i powiada: »Nie będę ja żoną żadnego księcia ziemskiego, mam już innego oblubieńca, widzicie, że jest mocny i obronił mię; jestem chrześcianką; oto jest krzyż, na którym oblubieniec mój umarł! mocą jego pokonałam piekielnego smoka; zbudujcie mi na tém miejscu kaplicę, żebym się do śmierci modliła, i przyjmijcie wszyscy wiarę prawdziwą!« — Tak zaraz książęta jeden i drugi, właśnie ze wszystkich najpierwsi, przyjęli wiarę, i także wiele z ludu, co tam przyszedł, przyjęło. Wystawili nie kaplicę, ale kościół śliczny, bogaty bardzo. Jeden książę został w nim mnichem; drugi poszedł do Rzymu, potém do grobu pańskiego; a ona do śmierci była zakonnicą, dziękując Bogu, że ją tak ocalił i wiarę ludziom przez nię pokazał.

A cóż? jakże znajdujesz? Takich powieści mógłbym ci ztąd wiele spisać. Notabene byłoby bardzo dobrze, żeby i nasze kto kiedy spisał; byle tylko nie żadnym innym sposobem, nie kwiecisto, nie po autorsku i nie po aktorsku, ale po prostu i jak najprościéj. Ty, co mieszkasz w kraju i znasz się z panami literatami, powinienbyś którego namówić; pamiętajcie tylko, żeby tego nie zepsuć. Prawdę rzekłszy, to żeby to dobrze, i jak ja sobie wystawiam, zrobić, trzebaby nie mnie, ani ciebie, ale przynajmniéj jakiego Brodzińskiego. W tutejszych reńskich panuje prawie we wszystkich jakaś myśl religijna. Częsta w nich bardzo wzmianka o ziemi świętéj, o wojnach krzyżowych, o Ś. Bernardzie, i t. d. Możnaby z nich także ułożyć wyborny kurs filozofii moralnéj; uczą np. gościnności, stałości, wiary małżeńskiéj. Aktorami w niektórych są różne duchy, istoty tajemnicze, gnomy, karły, nimfy wodne, czarownice. Te dziwne, nadprzyrodzone podania, słyszane tu na miejscu, w tym tak dziwnym, niepodobnym do innych, w tym tak poetyckim kraju, mocniéj daleko niżbyś sobie wystawiał, uderzają umysł. Wodząc okiem po tych zielonych, cichych górach, po tych ścianach skał, po tych białych, wysokich ruinach, których kształty powtarzają się i mieszają wciąż przed tobą i za tobą w jasnych zwierciadłach Renu, zdaje się, że doprawdy insi tu jacyś ludzie, insze jakieś musiały przebywać istoty, i że zdarzenia, co tu miały miejsce, niemogły być podobne do zdarzeń zwyczajnego, pospolitego świata.

Właśnie byłem zajęty słuchaniem bardzo ciekawéj historyi o jednym pięknym, młodym rycerzu, który się zakochał w pewnéj ślicznéj ondynie, a nigdy niemógł do niéj dostąpić, bo albo szła pod wodę, albo w powietrzu pierzchała — kiedy jakiś jegomość, co się niedawno z lądu do nas dostał i od kilku minut chodził po statku, zbliżył się do mnie i zapytał... o paszport. Nie wiedziałem w pierwszym momencie co to było. Od powietrznéj i mgłami zasutéj ondyny, do tłustego w skórzanym kaszkiecie i z krótką w gębie fajką jmć pana sekretarza koblenckiéj policyi, wizytującego pasażyerów, który powtórzył mi po raz drugi, że chce widzieć mój paszport, przejście istotnie dość szczególne. Dopływaliśmy do Koblenc.

Miasta nieoglądałem, bom wolał płynąć ciągiem do Kolonii. Bardziéj mię uderzyła na przeciwnym brzegu twierdza Ehrenbreitstein, ogromna, straszna i na potężnéj górze. Wkrótce krajobraz mniéj już zachwycający, pospolitszy, jak gdyby widok téj fortecy zepsuł matce naturze humor, i rozbudził ją z poezyi. Góry się rozsunęły, opadły; gdzie niegdzie całkiém płaszczyzna. Myślałem, że już koniec cudów, — ale od Andernach wszystko nanowo! Góry się znów podnoszą, biegną jedne za drugiemi, doganiają się, i w jednę ścianę wzdłuż rzeki po obu stronach stawają; znów na ich karkach te same dawne zamki, te same dawne zwaliska, te same dawne czasy. Przyznam ci się, że już tém wszystkiém byłem przywalony. Cały dzień od rana do nocy takich widoków, takich dziwów, takich wzruszeń, to na nerwy jednego biednego, słabego człowieka zanadto. Bałem się, żebym się niedopuścił przeciw téj wielkiéj, świątecznéj, téj uroczystéj naturze obrazy majestatu; żebym na te malarstwa i piękności niezaczął patrzeć wzrokiem szkaradnym, obojętnym, wzrokiem bankiera, adwokata, chirurga, lub sekretarza policyi; — i rad byłem, kiedy ponury i burzą grożący wieczór zaczął wszystko przedemną zakrywać. Nocny chłód wody ostudził mi czoło; zmysły wychodziły powoli z upojenia; ucichłem wewnątrz. Statek z szumem rozrywał przed sobą ciemną wodę; z masztu tylko migało po niéj światełko kilku zapalonych latarek, ostrzegających statki z naprzeciw idące, żeby się na wprost niestatki niewpędziły. Niedługo żal mi się zrobiło za wszystkiém, czegom już niewidział; zatęskniłem, podniósłem w górę głowę... — noc zupełna! Po szczytach, którędy przed chwilą oczy się moje czepiały, chodził już teraz inny podróżny... burza; i patrzył tam swojemi, jaśniejszemi oczami... błyskawicami. Deszcz lunął jak z cebra. Ale jeśli chciał nam do-

kuczyć, to się spóźnił, bośmy już właśnie stawali w porcie kolońskim.

Teraz jestem lepiéj jeszcze niż w porcie, bo w wygodnym pokoju hotelu **Reinberg**, — i zasyłam ci dobranoc.

P. S. Przebiegłem ten list, zobaczyć, jaki jest; i widzę, że niema w nim ani okruszyny z uczty, ani listeczka z ogrodu. Małom obiecał, a niedałem i tego. Cóż robić! Jak się kiedyś zobaczym, to ci będę opowiadał. Miejsc niewyliczam, bo znajdziesz w lada jeografii, w lada przewodniku.

(Dalszy ciąg później nastąpi.)

Domy i zatrudnienia Polaków w XV. i XVI. wieku.

(Ciąg dalszy.)

Zabawa z gościem w domu i za domem.

1. *Spodziewani są goście.*

Ze znaków pewnych przekonywano się o tém, że przyjadą goście; a mianowicie: jeżeli gospodarza domu lub gospodynię świerzbiało ucho, jeżeli sroka grzechotała około dworu, albo jeżeli się kot lizał [1]). Zaraz krzątano się wtedy około przygotowania do przyjęcia gościa, przemyśliwając nad tém, czémby go zabawić, a czém uraczyć można, skądby i on miał przyjemność, i gospodarz roskosz, a dom chlubę i głośne z uprzejmości u sąsiadów imie.

[1]) Przemowa do czarownicy powolanéj.

2. *Goście u pana.*

Jadąc w odwiedziny pan do pana, lub szlachcic do szlachcica, brał z sobą pachołków, jużto dla okazałości, już dla obrony: ażeby gdy sam klamką (młotem) do wrót kołatać będzie, oni tymczasem od psów go strzegli otoczywszy kołem [1]). Gdy się wrota otworzyły, pan dla większéj okazałości wchodził ze służbą. W około kłaniali się pachołcy [2]), a potém ustąpili na stronę. Witał gospodarz gościa po dworsku temi słowy: »moja służba, służba sąsiedzie miły, służba i drugi raz służba« [3]). Mniéj wykwintni po prostu się witali: »zdarz Pan Bóg, pomoż Bóg, nadarz Bóg«, a odchodząc mawiali: »Bóg żegnaj« [4]). Nawzajem słudzy domu, jużto żartem, już dla ich uczczenia, witając gościnne sługi, czapkowali, za kolana ich ściskali, miłościowywali, i tak przybywających w gościnę czcili [5]).

Panowie przyjmowali u siebie gości wystawnie i wyrachowano, szlachta przyjmowała ich otwarcie i szczerze. Powinowatych nawet swoich przyjmując u siebie panowie, inaczéj występowali, jeżeli ci wysokiego byli rodu, a inaczéj, jeżeli pochodzili ze szlachty, i oprócz majątku, dla którego się z nimi spowinowacili, nic innego nie przemawiało za nimi. Powinowatego, który z urodzenia był znakomity, przyjmując u siebie pan, przez dni trzy częstował go wystawnie, strzelając z moździerzy i sute wyprawiając uczty. Powinowatego szlachcica u siebie przyjmował, ale pachołcy i konie gościa takiego pozostać musieli w karczmie na wsi, jemu samemu tylko wolno było przyjść do dworu. Przywitano go poważnie, ale się nie spytano, czy jadł co. Nie krzątano się około jego pościeli: nieraz spać musiał nieborak na brogu. Przeciwnie szlachcic na przyjęcie gościa pana musiał wystąpić okazale. Należało mu szpalerami obić ściany gościnnéj izby, ze stołu precz ustąpić musiała kapusta, jéj miejsce zajęła kasza ryżowa na wieczerzę i insze dania najmniéj ze sześciu złożone półmisków; za napitek postawić należało wina z malowaną obok szklenicą. Ponieważ szczupły dwór szlachecki niemógł pomieścić całéj drużyny, gdyż panowie zwykle w kilkadziesiąt jeździli koni, należało samego pana i przedniejszych jego towarzyszów umieścić we dworze, innych na wsi, opatrzywszy naprzód ich potrzeby hojnie. O koniach szczególną należało mieć pieczę, posłać im owsa, chociażby i ostatek; chociażby go i zabrakło na wiosnę dla gąsiąt. Troskliwie chował go na ten cel gospodarz w pudle pod dachem, ale teraz wydobyć go i gościnnym koniom wysypać musiał.

Siedzieli, jedli i pili goście, bo im dobrze było: byliby tu wiekowali, gdyby się ich był nie pozbył gospodarz żartem i nie wyprosił z domu. Gdy raz u pana Sobieskiego liczni i długo bawili goście, rzekł im gospodarz: »muszę ja od was precz, kiedy wy opuścić mnie niechcecie« [6]), i tak się ich pozbył.

Odjeżdżającemu panu dać wypadało w upominku, co miał dom najlepszego w stajni i w psiarni. Konik gospodarza, chartek i ptaszek, precz musiał ze szlacheckiego do pańskiego powędrować domu [7]).

[1]) Rozmowa 2. z r. 1553. [2]) Kolem pacholacze ukłony, Zbylitowski, schadzka. [3]) W broszurze: Albertus z wojny; Zbylitowski, schadzka; u Kochanowsk. we fragm. str. 24. Congredimur, dextrisque datis służbaque powolna. [4]) Rej, Wiz. 39. 127. Paprocki, kolo rycersk.; Kochanowsk., fraszka 105. [5]) Olszewski, w kazaniu *grono winne.* [6]) Górn. Dworz. str. 190. [7]) Rej, Żyw. 31., Przemowa 193.

3. *Goście u szlachcica.*

Gdy szlachcic do szlachcica przyjechał w zimie, sadzano go przy ciepłym piecu, albo u komina, na którym się rzęsisty palił ogień [1]). Następnie obmyślano zabawę: albo mu grano na lutence, albo śpiewano poczciwe (moralne) piosenki, lub jakie wierszyki, kończąc je zwrotką **la, la, la**; albo opowiadano pocieszne dykteryjki, często prawiąc jak o żelaznym wilku, albo dawne jakie przypominano sobie dzieje [2]); albo urządzano gry i rozrywki, stósowne do płci i wieku w gościnę przybyłych osób. Proszono naprzód gościa, ażeby się albo do muzyki przysiadł, albo tańcował, albo się rozmową z pannami bawił [3]).

[1]) Jeżowski, Zima. [2]) Dosłownie z Reja Wiz. 18. 66. 73. 78. [3]) Górn. Dworz. str. 26.

a) M u z y k a.

U uboższych żaden obrzęd, u bogatszych żadna uczta, a u wszystkich żadna uciecha nieobeszła się bez huku i gędźby. Każdy wiek i stan ludzi zamieszkujących Polskę miał osobną muzykę i narzędzia muzyczne.

Muzyka była albo huczna czyli trąbienie, albo cicha czyli gędźba, albo było li tylko śpiewanie [1]). Huczną muzykę najwięcéj lubiono, złożoną z wdzięcznych trębaczów, bębnów i pokrzyków [2]), a lubiono ją dla tego, że z niéj mógł sobie łatwo sprawić ochotę i chudy pachołek, zadąwszy w dudy z krzywym rogiem. Ukraińską kobzę nad inne przenoszono, jéj odgłos ceniąc tyle, co miły dźwięk cytry (gitary) hiszpańskiéj [3]). Huczne tony wydobywano nietylko z kobzy (z koziego rogu, z kozła), ale także z trąb i bębnów. Wrzeszczał kozi róg za uchem, tłuczono w bęben by w pudło, aż we łbie trzeszczało [4]). Krzykliwe były kornety i fujary, głośne sztorty, szałamaje, pomorty, regał, skrzypice, biegłe (wysuwające się) puzany; przeciwnie cichemi lutnie, arfy, padwany; szczebiotliwemi flety, wykwintnemi mutety. Bandory używano do skocznych tańców [5]).

Licznie obsadzona była orkiestra ta, która się składała z pięciu basów, z dwunastu dyszkantów, z sześciu altów, z ośmiu tenorów, z dwunastu wagantów [6]) (pośrednik tonów). Stanisława Lubomirskiego nadworna kapela składała się z dwudziestu siedmiu muzyków i śpiewaków [7]).

Dla gminu najmilszą muzyka była ze serbskich skrzypic i dudów. Żacy lubili drumlę, pasterze piszczałkę, niedźwiednicy multanki, łądki (marionetki), piskliwe gaidki (małe skrzypce), Żydzi grzebienie (cymbały), Cygani dzyngi (muzyczne narzędzie ze dzwoneczkami) [8]).

[1]) Żywot Jezusa z r. 1522. [2]) Rej, Wiz. 26. [3]) Miaskowski I. str. 217. Jeżowski w ustępie **Zima**. [4]) Mówi rubaszny Rej w Wiz. 16. 67. [5]) Rej, Wiz. 66. Miaskowski I. str. 215. Zbylitowsk. witanie 14. Gorczyny poem. I. światowa roskosz, *pompa, muzyka*. [6]) *Padwan, wagant, mutet*, za same tylko śpiewy bierze p. Linde pod t. w. [7]) Pamiętn. Warsz. Franc. Dmochowskiego tom XVI. [8]) Kochanowski, Dzieje I. str. 221. Miaskowski I. str. 214. światowa roskosz, muzyka. Jungmana słownik czeski p. w. *lantka*.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Sposoby domowe ku wygodzie i pożytkowi.

Domowe gospodarstwo.

O owocach.

(Dokończenie.)

Śliwki (prunus domestica) chłodzą, orzeźwiają, są łatwe do strawienia i rozwalniają żołądek. Tak świeże jako też suszone biorą na zupy, komput, i stanowią pokarm we wszystkich tych przypadkach, orzeźwiający, ochładzający, rozwalniający i łatwy do strawienia, stósowny w chorobach połączonych z zatwardzeniem, w biegunkach jednak wystrzegać ich się trzeba. Szkodliwemi są chorym marynowane w occie z cukrem i korzeniami. Toż samo powiedzieć można o renklodach (reine-claude) i zielonych holenderskich śliwkach.

Wiśnie (prunus cerasus) zawierają w swéj delikatnéj tkance wiele soku słodkawo-kwaśnego. Kwas ten jest złagodzony kleistością roślinną i pierwiastkiem cukrowym. Są łatwe do strawienia, chłodzą i orzeźwiają. Używają ich tak świeżych jako też suszonych na zupy, komputy, do sosów i smażą w cukrze. W chorobach są bardzo użyteczne, byle nie były te połączone z kwasami w żołądku, które się powiększają przez jedzenie wiśni. Wiele ich też jeść nie należy, bo mogą szkodzić strawności żołądka.

Morwy, a w szczególności czarne (morus nigra), są podobnie orzeźwiającym i ochładzającym owocem w chorobach. Nie należy ich jeść z ziareczkami, gdyż te żołądek obciążają i mogą stać się przyczyną biegunki. — Białe morwy są nieprzyjemne w smaku i dla tego niestósowne w chorobach.

Figi (figus carica) zawierają wiele klejowatości i pierwiastku cukrowego, łatwo posilając, przyje-

mne są w smaku i miernie użyte ułatwiają strawność. Tak świeże jak suszone bardzo są skuteczne w chorobach piersiowych. Zbytnie jednak używane zamulają żołądek i wstrzymują łatwy obieg krwi w dolnéj części brzucha.

Pomarańcze (citrus aurantium anenoe) objęte ze skórki i białéj pod nią zawartéj tkanki, zawierają w przedziałach, łatwo rozdzielić się dających, wiele przyjemnego kwaskowo-słodkiego soku, który orzeźwia, ochładza, żółć stłumia i łagodnie syci. Sok z nich wyciśnięty z pożytkiem może być używany w chorobach.

Wildberg,
Nadradzca medycynalny.

Nowy sposób fabrykowania musztardy,
na który Max. Jos. Richard dnia 4. Marca 1837. na 8 lat przywilej otrzymał w królestwie bawarskiém.

Namocz:

50 funtów gorczycy w ziarnie w dobrym occie i niech tak przez kilka dni postoi; potém dodaj:
2 funty oliwy,
$1\frac{1}{2}$ funta soli,
4 uncyj jamajca piment,
2 uncye tłuczonych gwoździków,
1 uncyę tłuczonéj gałki muszkatołowéj,
3 uncye tłuczonéj terra merita.

Gdy to wszystko razem zmieszasz, wtedy całą tę massę na młynie gorczycznym (to jest na maszynie na ten cel urządzonéj) podwakroć zetrzej, a otrzymasz prawdziwą musztardę Maille lub Ayeoloque, które w Paryżu za najlepsze uchodzą.

Chcesz ją zaprawić estragonem, selerami, kaparami i t. d, weź ich tyle, ile potrzeba, pamiętając, aby świeże były.

ROZMAITOŚCI.

Z Berlina. — Tajny nadradzca Dr. Schulze i prof. Preuss otrzymali polecenie ze strony ministerstwa oświecenia do uporządkowania wszystkich pism Fryderyka II. króla pruskiego i do ogłoszenia ich drukiem. Między innemi znajduje się list w języku francuzkim, pisany przez niego do Stanisława Augusta, nowo-obranego króla polskiego, i brzmi w tłumaczeniu jak następuje: »Wasza królewska mość pamiętać musisz, iż otrzymawszy koronę nie przez urodzenie, ale przez wybór, tém większą zwrócisz na swoje czyny uwagę świata, niż którykolwiek z panujących w Europie, i to téż za słuszne uznać należy. Ostatni gruntują prawa swoje do tronu na stopniach pokrewieństwa, dla tego téż niewymagają od nich więcéj (chociażby więcéj życzyć należało!) nad to, czém inni ludzie zazwyczaj są obdarzeni. Ale od tego, który przez sobie równych z poddanego na króla wyniesiony i dobrowolnie wybrany został, by rządził tymi, którzy go obrali, wymagają wszystkiego, co tylko na koronę zasłużyć i ją zdobić może. Wdzięczność względem ludu, który go obrał, jest pierwszym obowiązkiem takiego monarchy, bo jemu jedynie, obok Opatrzności jest winien, iż został panującym. Król z urodzenia, który okazuje się niegodnym swego wysokiego stopnia, jest tylko satyrą na siebie samego; ale król obrany, który nie działa według swojéj godności, znieważa i lud swój. Wasza królewska mość przebaczysz mi mój zapał, który jest skutkiem najszczerszego poważania. Najpiękniejszym celem tego obrazu jest nie nauka, czém być masz, ale wróżba, czém będziesz.«

Ośm skrzypcy Paganiniego. Francuzkie gazety wymieniają osmiu mistrzów na skrzypcach, którzy według testamentu Paganiniego biorą w spadku ośm jego skrzypcy. Nimi są: Beriot, Ernst, Lipiński, Majseder, Molique, Ole-Bull, Spohr i Vieuxtemps.

Przykladna matka. George Sand, sławna autorka francuzka, ma dwie córki, które wychowuje według zasad objawionych w swych pismach. Obie są ubrane jak chłopcy, a tak dzikie i psotne, że mogą iść z najpsotniejszymi chłopakami w porównanie.

Do wystrojenia domu wielkiéj opery w Paryżu wypotrzebowano za 27,000 fr. aksamitu czerwonego.

Pani Mason wybraną została na akuszerkę przy królowéj angielskiéj. Pobiera miesięcznie 2000 talarów, a nadto dostawać będzie w pierwszych czterech tygodniach 7 tal. dziennie.

Dziwny perski zwyczaj. Szczególniejszy to jest zwyczaj, który przyjęli bogatsi Persowie, w obchodzeniu się ze swojemi dziećmi. Dziecko po urodzeniu posypują białą solą, po dwu dniach zadają mu małe cięcia na plecach pewnym rodzajem brzytwy. Tożsamo powtarzają i w trzecim i w czwartym dniu, tak iż krew płynie. W osmym dniu ubierają nowo-narodzone dziecię od stóp do głów jak dorosłego i to w jak najpstrokatszy ubiór. W haremie odbywa się wielka uroczystość, a po trzech dniach kąpie i obmywa matka dziecię po pierwszy raz i tym sposobem oczyszcza je z krwi i soli. Potém przynoszą dziecię ojcu, ten bierze je na ręce, klęka, modli się do Allaha, Mahometa i Alego, i na-

daje dziecięciu imie. Początku tego zwyczaju nie można wykryć ani objaśnić, lubo pochodzi z najdawniejszéj starożytności.

Cesarz chiński wyniósł do trzeciego nieba swego admirała Kwan w nagrodę zasług położonych w bitwie jednéj z dwoma angielskiemi okrętami.

Mody. — Paryż, dnia 19. Sierpnia 1840. Podczas ostatniéj reprezentacyi, w któréj Taglioni występowała, widziano wiele pelerynek (canezous) muślinowych i koronkowych, na białych i kolorowych szlafroczkach.

Oprócz tych pelerynek było wiele spencerków jedwabnych i aksamitnych. Główne kolory ich zielony ze złotemi i pomarańczowy ze srebrnemi guziczkami. Na pół żałobę noszą czarne lub szare spencerki z wystrojeniem gagatowém lub z czarnych koronek.

Na wzięcie wystawne brano suknie z białego poux de soie, u stanika koronkami, u powłoki falbanami w zęby wystrojone.

Strój włosów stanowiły girlandy z kwiecia polnego.

Do dobrego smaku należy, latem jak najmniéj nosić ozdób, za to więcéj łożą starania na bransoletki i bramowania, tak do mniejszego, jak większego stroju. Ujrzałem też nowy rodzaj naramiennic na przegubiu ręki, podobnych do orderu podwiązki, na których kamyszkami drogiemi wypisano: Honni soit qui mal y pense.

Pierwszym warunkiem w ubiorach jest harmonija w formie i kolorze.

Rozmaite części ubioru powinny mieć jeden i ten sam charakter, podobnie jak rysy twarzy, które jakkolwiek są rozmaite, podobieństwem do siebie się zbliżają, bez którego nie masz twarzy dobrze ukształconéj. Tak stósuje się kapelusz o jedném piórze i z maleńkim obwodem do góry wzniesionym, do długiéj sukni ze stanikiem sztywnym. Tak piękny czepeczek, mający przy ślicznych koronkach angielskich piętno wiejskiego pożycia, wymaga maleńkiego fartuszka i rękawiczek bez palcy. — We włosach, w pojedyńczéj sukni siada się do fortepianu. — Taki w téj chwili u nas jest zwyczaj.

Tyle o formach i charakterach; teraz przejdźmy do kolorów. Nie zgadzamy się na przysłowie hiszpańskie:

Sobre los gustos e colores non hai disputa.
(O smaku i kolorach nie trzeba się spierać.)

Sądzimy owszem, że stawianie obok kolorów ma swoje prawidła, na które nie dosyć zważają, a może i nie dosyć je znają. Wiemy, że czasem żądają do ubioru żółtéj sukni, zielonego szalu, niebieską szarfę i kapelusz różowy. W samym nawet Paryżu, słynnym ze swojego smaku, połączają Damy kolory, które bynajmniéj do siebie się nie stósują, ale o tém w przyszłym liście więcéj powiemy. Teraz cokolwiek o męzkich ubiorach.

Paletoty ciągle jeszcze noszą, ale doznały zmiany w kroju. Są obcisłe, kieszeń u nich na połowie, w ukos, druga na biodrze, z lewéj strony, mniejsza, więcéj ku przodkowi. Obszerne rękawy, wyłogi okrągłe, nie wielkie.

Krawaty kolorowe coraz więcéj się zagęszczają, niebieskie i zielone szczególniéj, w prążki i kwiateczki.

Kamizelki z dawnego kształtu tylko wązki szalik zachowały. Noszą je do paletot-fraków, à la française. Modne tkaniny są szkockie, w zielone lilije i w małą kratkę; podobnie biorą na kamizelki jedwab, tak zwany roślinny, wyrabiany w rozmaite wzory, najwięcéj w kratkę.

Pantalony robią w rodzaju bluzy, bez kamaszy i wycięcia, okrągło u dołu Tkaniny na pantalony, wełniane lub z drelichu, w pręgi lub kratkę.

Objaśnienie ryciny.

1) Kapelusz z ryżowéj słomy, zdobny kwiatami i wstążkami. Suknia muślinowa o dwóch falbanach.
2) Kapelusz jak u 1. Suknia jedwabna guziczkami ugarnirowana.
3) Jedwabny kapelusz, piórami ustrojony. Suknia z krótkiemi rękawami i podwójną falbaną. Szal półjedwabny.
4) Ubiór męzki.

Oświadczenie. **Ponieważ wielu z szanownych Prenumeratorów jeszcze się dotąd nieuiściło z przedpłaty za ubiegłe półrocze Dziennika domowego, przeto redakcya wzywa jak najuprzejmiéj, aby zaległość tę na jéj ręce tu do Poznania, przy ulicy Sto-Marcińskiéj No. 78., przez pocztę we frankowanych listach przesłać raczyli.**

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

34